Rok 1939 5 marca Nr. 10

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ



Za granicą żyje wielu Polaków, których od wynarodowienia ratuje przywiązanie do wiary katolickiej. Na zdjęciu widzimy modlące się w kościele Polki, które mieszkają w państwie Niemieckim nad granicą polską. Zachowują one swój polski strój ludowy, mowę i zwyczaje ojczyste, a pobożnością świecą przykładem dla innych.

W bielańskiej pustelni

Nie prędko jeszcze ścichną wspomnienia po zmarłym Ojcu św. Piusie XI. Szczególnie tkliwie brzmią one w Polsce, mimo, że w niej spędził lat nie wiele.

Dużo dopiero teraz wychodzi na jaw szczegółów z jego życia, nieznanych szerszemu ogółowi, dlatego — myślimy — chętnie przeczyta je każdy czytelnik naszego pisemka.

Z miejsc najmilszych przechadzek nuncjusza Rattiego były Bielany pod Warszawą, cichy, leśny zakątek dawnego zakonu Kamedułów. W starym kościele często można było widzieć księdza Achilesa, zatopionego w rozmyślaniu i modlitwie. Lubiał też spacerować wśród zgrzybiałych domków pustelników kamedulskich i siadywać pod starą lipą, skąd rozlegał się piękny widok na Wisłę.

To ustronie obrał sobie za miejsce dla odprawienia rekolekcyj przed zbliżającym się dniem, w którym miał z rąk kardynała Kakowskiego otrzymać święcenia biskupie. Przebywający na Bielanach OO. Marianie oddali dostojnemu gościowi na mieszkanie domek, wystawiony przez króla Władysława IV. Domek ten — według podania — był właśnie domkiem rekolekcyjnym polskich monarchów. Zniszczony, o zmurszałym dachu, małych pokoikach, niskich oddrzwiach i oknach. pusty, odarty przez Moskali ze wszystkiego, co mogłoby przypominać królewską przeszłość, stał się gościnnym domem przyszłego Papieża. Jeden tylko jedyny ślad mówił o tem, co minęło, a była to ledwie widoczna na kamiennym obramowaniu drzwi resztka wyrytego napisu: „Rex Pol." (oniae), co znaczy Król Polski.

Przybywszy na Bielany w połowie października w 1919, od razu rozpoczął ks. Ratti swe rekolekcje w głębokim skupieniu i długo trwających modlitwach, przygotowując się do wielkiej uroczystości warszawskiej. Codzień rano w kościele odprawiał Mszę św. przed białym posągiem Matki Boskiej, której cała postać tchnęła taką dziewiczością i słodyczą, że każdego, kto na Nią spojrzał, zmuszała poprostu do zgięcia kolan. To też wielkie i na przyszłym Papieżu zrobiła wrażenie. W czasie ostatniej Mszy św. w starym kamedulskim kościele śpiewali na chórze chłopcy pieśni polskie, co niezmiernie wzruszyło ks. Rattiego, to też w podzięce na pamiątkę — ofiarował im figurę św. Stanisława Kostki, jako patrona młodzieży.

Tak to skromna pustelnia na Bielanach, królewskie zacisze dla pogłębienia życia duchowego„ gościła u siebie wyższego od wszystkich królów i książąt — Namiestnika Chrystusowego, Ojca chrześcijaństwa, Sternika Kościoła świętego, Piusa XI. Pamięć o tym przetrwa z pewnością długie jeszcze lata.

Wróbelki Zosi

Zosieńka była małą, siedmioletnią dziewczynką i mieszkała z matką w Krakowie. Przechodziła ona ciężką chorobę, to też po wyzdrowieniu, lekarze radzili wywieźć ją na zdrowe, słoneczne powietrze tatrzańskie. Matka przybyła więc z dziewczynką do Zakopanego zimą.

Pani Majewska nie była bogatą, nie zamieszkała zatem z córeczką w żadnym z licznych zakładów leczniczych, ani w pensjonacie, tylko wynajęła słoneczny pokój z werandą u gazdy, w pobliżu Doliny Strążyskiej.

Zosieńka w porze południowej leżała na werandzie, zawinięta w pierzynę i koce, i przez otwarte okna patrzyła na zaśnieżony las, na śnieg błyszczący jak diamenty. Widziała licznych narciarzy, a także sporą gromadkę dzieci zjeżdża-

jących pod Reglami na nartach, i cieszyła się nadzieją, że i ona będzie na przyszły rok jeździć tak samo.

Pani Majewska zajęta domowymi pracami, nie mogła siedzieć ciągle przy dziecku, to też Zosi nudziło się w samotności. Pewnego dnia, kiedy cichutko leżała pod nakryciem, przyleciał do otwartego okna wróbelek. Rozglądał się dokoła ciekawie, poczem ośmielony przyfrunął aż do stolika, na którym stała tacka z talerzykami i okruszynami, pozostałymi od drugiego śniadania. Kiedy jednak matka Zosi zbliżyła się, wróbelek odleciał.

Na prośbę pani Majewskiej gazda przymocował przy oknie werandy, od strony pola, deszczułkę i na nią sypała teraz Zosieńka okruszki, zanim położyła się na leżaku. Leżała cichuteńko. Wkrótce przybył jeden wróbelek, potem drugi i trzeci, wkrótce cała gromadka ptasząt zlatywała się do okna Zosi. Kiedy było ich za dużo, wtedy zaczynała się między nimi bójka. Usłyszawszy to kumoszki wrony, przyleciały czym prędzej, porozpędzały wróble i same zjadły wszystkie okruszyny. Zosia nie lubiła wron. Krzyknęła więc i poruszyła rączką, uciekły spłoszone, a wróbelki powróciły.

Gdy na dworze był wielki mróz, wiatr, albo zawierucha śnieżna, wtedy okno zostawało zamknięte. Ptaszęta jednak dopraszały się posiłku, pukając dzióbkami w szyby. Wtedy Zosia uprosiła mamusię, by nasypała im jedzenia na deseczkę. I tak wróbelki zadomowiły się całkiem w zagrodzie gazdy. Nocą sypiały gdzieś pod dachem w pobliżu werandy. Zosieńka stojąc w pokoju w pobliżu okna, widziała z niego dobrze okno werandy i wróbelki.

Nadeszły silne mrozy i w drewnianych domkach pod Reglami trzeba było palić często i nocami. Jednej nocy obudził dziewczynkę jakiś pisk i pukanie w okno werandy. Odrazu poznała, że to piszczą wróbelki. Zawołała na śpiącą matkę, bo myślała, że to zapewne wrona rozpędza nocą biedne wróble. Ponieważ dziewczynka bardzo nalegała, pani Majewska wyszła na werandę, otworzyła okno i wyglądnęła na pole. Niespodziewanie poczuła dym, wychyliła się więc z okna i odrazu spostrzegła, że dym wydobywa się z pod dachu.

Obudziła zaraz gazdę i gaździnę. Gospodarz udał się na strych i tu pokazało się, że drzwiczki od komina były przepalone, i przez dziurę w nich wypadła iskra na strych, od niej zaś zajęły się różne graty na strychu.

Ogień natychmiast ugaszono i w ten sposób, dzięki wróbelkom Zosi uniknięto wielkiego nieszczęścia.

Od tego dnia nawet gazda i gaździna karmią szare ptaszęta, które umiały okazać taką wdzięczność. Zosieńka zaś pokochała wróbelki jeszcze bardziej i karmiła je wytrwale codziennie.

M. Ostrawicka.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Następnie szereg żerdzi w różnych odstępach poopierali o górną poprzeczkę jednym końcem, gdy drugi wbili w ziemię; wszystko to umocowali, spajając przy zetknięciu związaniem sznurowem. Następnie cieńsze pręty poprzeplatali na poprzek tamtych skośnie stojących, aż powstała sztywna krata, czyli według Sokolika, klatka na lwy zbiegłe z menażerii. Wtedy po przeciwnej stronie utworzyli drugą taką samą kratę. Rusztowanie dachu o dwu spadkach było gotowe. Dwie węższe trójkątne ściany po bokach zamknęli podobną kratą pionową, zostawiając w jednej pośrodku otwór dostateczny na wejście.

Podobny szkielet drugiego szałasu, również dwudaszkowego stanął przy tamtym, także równolegle do wschodniego muru leśnego, ale jeszcze bliżej

góry, a z otworem wejściowym z przodu, nie z boku. Różnił się od poprzedniego tem tylko, że zamiast dwu pionowych ścian, miał półkoliste przyczółki, rozszerzające znacznie podłoże, przez co był — jak mówił Tadzik Mały — nieco odpowiedniejszy dla wielkoludów z pośród starszyzny oddziału.

Wreszcie między tym z przyczółkami, a samą górą stanął czwarty szałas mniejszy, stożkowy, czyli — jak go przezwał Stach — loża dla szwajcara, co było uzasadnione, bo miał stanowić istotnie schronisko stróża obozowego.

Altaną nocy bezsennych nazwał go Janusz, ponieważ przed zimnem lub słotą kryć się będzie w jego wnętrzu ten z kolei, który połowę nocy przepędzi na czatach w uśpionym obozie, sam zaś straż trzymając, nie może pod żadnym warunkiem zasnąć. I dlatego właśnie ten szałas dla strażnika nie miał wewnątrz dostać urządzenia sypialnego, jak poprzednie, od których różnił się zresztą tylko zewnętrznym kształtem.

W okół wysokiego słupka wkopanego w ziemię wbito szereg prostych żerdzi ku środkowi nachylonych i związano je u szczytu do słupa, poczem znowu dla otrzymania kraty, jak przy robocie tamtych, poprzeplatano giętkie pręty na poprzek. W miejscu, gdzie zostawiono otwór na wejście, zrobiono daszek.

Gdy stanęły już wszystkie nagie szkielety, Leszek obejrzawszy je ostatecznie, orzekł, że Lwom mogą służyć za dostatecznie mocne klatki, lecz Sokolik słów jego nie słyszał.

— Stachu, gdzie ty — wołał Bolek - słyszysz, właź do klatki...

Młody góral odpowiedział mu z wysokości kilku metrów, siedział bowiem na drzewie i toporkiem zrzynał gałązki, potrzebne na poszycie szałasów, wyszukując właśnie giętkich, a długich, wąskich, a gęstych, odpowiedział zaś swoim figlarnym zwyczajem — śpiewką, w której pogoda duszy młodzieńczej mieszała się z nutą tęsknoty:

Coś mnie z nizin ciągnie w góry,
Jakbym orłem był;
Coś mi każe rzucać mury,
Nim krew strują żył.
Pieśń w mej duszy wiatr wygrywa:
Ty od błota stroń;
Ptak, co w niebo się porywa,
Wzlata wzwyż nad toń.

Coraz wyżej, wciąż na szczyty.
Coś mi każe iść;
To, co nocom daje świty,
Co las stroi w liść.
To mi nie da pełzać nisko,
Ni zagrzęznąć w brud:
Jeno dążyć, gdzie gwiazd blisko.
A drogą przez trud.

(C. d. n.).

Dwa bałwanki

Stoją przy moście dwaj jegomoście,
stoją pod sosną z miną żałosną.
— Jestem sobie pan, śniegowy bałwan
Mam ja czapkę, krzywą kapkę
i piękny żupan.
Chociaż jestem pan, smutną minę mam,
bo już taki los mój srogi:
nie mam ręki ani nogi!

Idą po moście weseli goście,
idą, tańcują, nóg nie żałują.
— Ja Kacperek, ty Kacperek;
nie ma tańca nad oberek!
Ja niewielki, ty nieduży.
Tańcowali, aż się kurzy.
Lecz tańcować razem milej,
więc bałwanków zaprosili.
— Hej, bałwanku, gruby panku,
tańcuj ze mną do poranku!

— Jak mam tańczyć do poranka?
Brak mi nóżki i kolanka!
Brak mi lewej, brak mi prawej,
jestem na nic do zabawy!

— Nie martwcie się, bałwankowie,
mamy radę, co się zowie:
zrobimy wam nóżki z kija;
Oj, będę się w tańcu zwijał!
Zrobimy wam rączki z drewna —
będzie z tego radość pewna.

A. Świrszczyńska (K. War.)